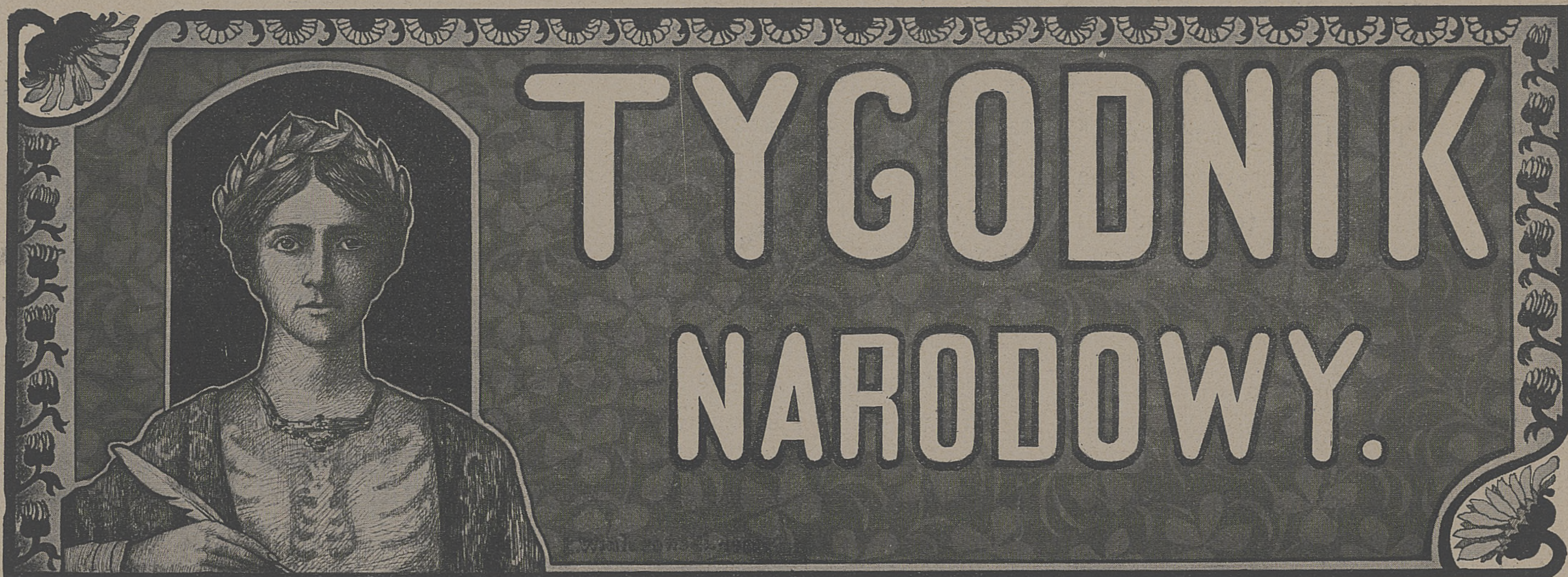
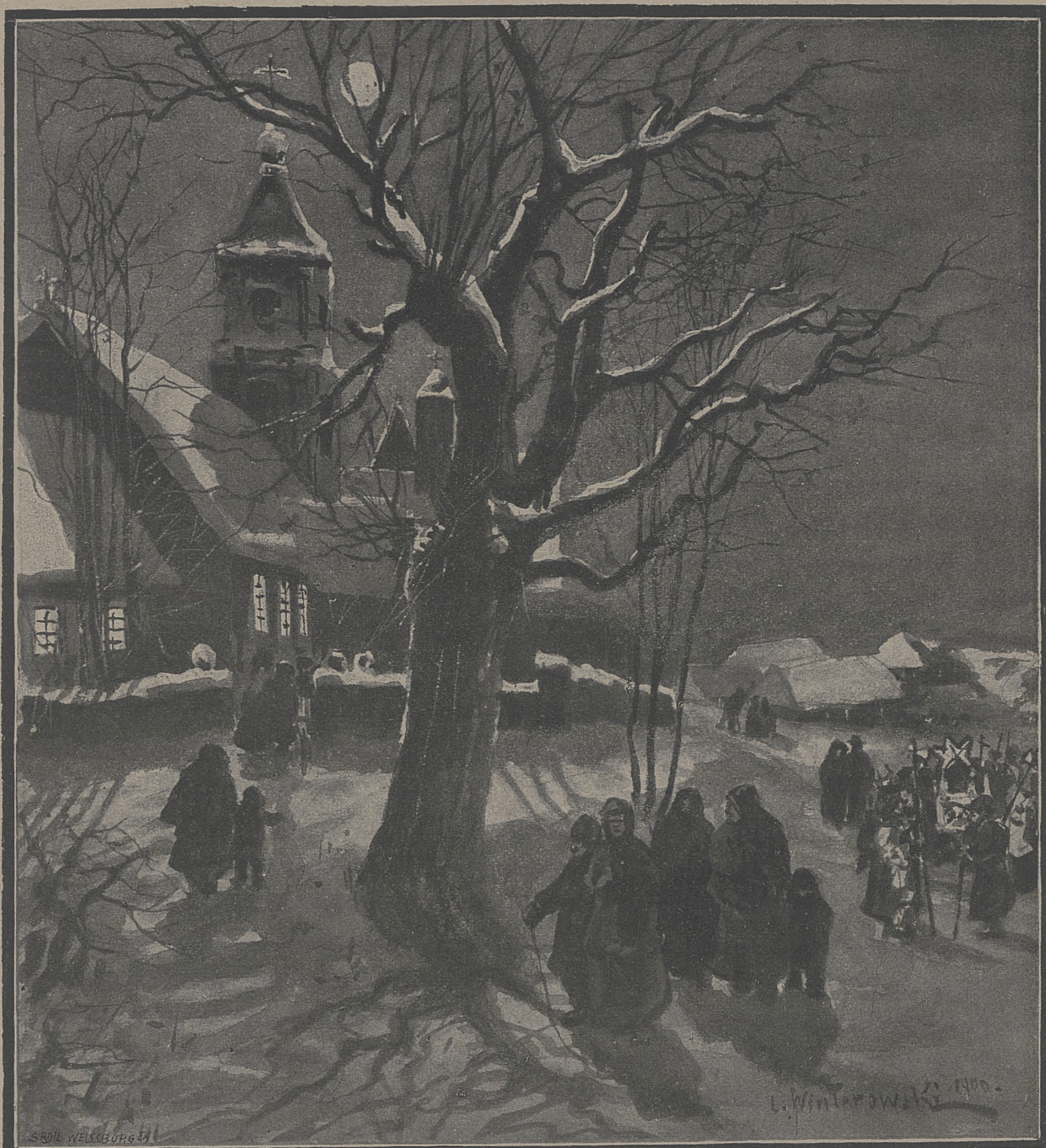
Rok 1900. Lwów, 23. grudnia Nr 63.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 63:

L. WINTEROWSKI.



NA PASTERKĘ.

Do naszych czytelników!

Obejmując z 1. lipca 1900. wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, nie tailiśmy przed sobą trudności, jakie każde tego rodzaju czasopismo ma do pokonania w Galicyi, gdzie tylokrotnie już nie udawały się próby.

Polityczne rozgorączkowanie się społeczeństwa nie sprzyja wydawnictwom literackim, a nawet kwestye społeczne usuwa, niestety, na stanowisko upośledzone; z drugiej zaś strony brak odpowiednich zakładów artystycznych w kraju utrudnia w wysokim stopniu należyte illustrowanie pisma.

Niezrażeni jednak niepowodzeniem poprzedników, stanęliśmy do pracy z tą silną wiarą, iż dobra wola, ofiarność własna i wytrwałość nie pójdą na marne.

Z zadowoleniem stwierdzamy, że nie doznaliśmy zawodu.

Życzliwe przyjęcie i poparcie, jakie nam okazano ze strony inteligentnej publiczności polskiej, przeszło nasze oczekiwania i sprawiło, że czasopismo nasze w przeciągu półrocza stało się jednem z najpoczytniejszych wydawnictw tygodniowych

Stwierdzamy fakt ten nie w innym zamiarze, jak, aby zapewnić, iż jest on dla nas bodźcem do dalszej pracy i ulepszania „Tygodnika Narodowego“ tak, iżby mógł odpowiedzieć wszystkim słusznym wymaganiom łaskawych czytelników.

Celem naszym jest stworzenie pisma illustrowanego dla rodzin polskich, któreby czytelnikom było wiernem echem narodowego ruchu piśmienniczego i artystycznego na ziemiach polskich.

Pismo, pragnące zachować swą żywotność, nie może wiązać się zgóry obietnicami prospektowemi, od których zdarzenia i okoliczności chwili bieżącej każą często odstępować. Dlatego też nie wymieniamy wszystkich materyałów, nagromadzonych już dzisiaj w tece redakcyjnej, a wystarczy, gdy zaznaczymy, iż, jak dotychczas, będziemy zamieszczali w „Tygodniku Narodowym“: artykuły sytuacyjne treści politycznej, rozprawy i korespondencye o bieżących sprawach społecznych i ekonomicznych, wiadomości naukowe, listy z ziem polskich i słowiańskich, powieści oryginalne i tłumaczone, poezye, oraz doborowy przegląd literacki i artystyczny.

Przypominamy również, że stałe współpracownictwo przyrzekli: dr. Ernest Adam, Kazimierz Bartoszewicz, Władysław Bełza, dr. Henryk Biegeleisen, Stanisław Błotnicki, Józef Białynia Chołodecki (Ćwik), Wojciech Dąbrowski, Adolf Dygasiński, Adam Dobrowolski, dr. Zofia Daszyńska-Golińska. Franciszek Rawita-Gawroński, Jan Kasprowicz, Edmund Kolbuszowski, Marya Konopnicka, Adam Krajewski, Izydor Kuncewicz, dr. Eugieniusz Piasecki, dr. Kazimierz Rakowski, Marya Rodziewiczówna, Stanisław Rossowski, dr. Jan Stella-Sawicki, Wacław Sieroszewski, Stanisław Woynarowski, Kazimierz Wróblewski i i.

Maryan Gawalewicz.

Henrykowi Sienkiewiczowi.

Dziedzicowi sławy największych i najlepszych w narodzie.

Pieśń dożynkowa.

CHÓR.

Zabrzmij pieśni, jako dzwon,
Poleć chyżo wzdłuż i wszerz,
Wdzięczne głosy serca zbierz!
Plon niesiemy, plon!

Zabrzmij pieśni ze wszech stron,
Rozpłoń się wśród bratnich tchnień,
Uroczysty dzisiaj dzień!
Plon niesiemy, plon!...

Poleć aż przed boga tron,
Zmień się w blaski, ciepło, woń,
I na stawne gody dzwoń!
Plon niesiemy, plon!...

DEKLAMACYA.

Żeś czarem swoim umaił lasy,
Żeś czarem swoim pola rozkwiecił,
Żeś duchom ludzkim siał polne krasy
I jasne gwiazdy i blaskiem świecił;
Żeś, jak z potopu gołąb skrzydlaty,
Z oliwną różdżką leciał nad tonie —
Najświeższe laury, najświeższe kwiaty,
W wieniec splatamy na Twoje skronie!

Żeś czystem ziarnem zasiewał dusze
I karmił serca pożywnym chlebem
I był rzeźwiącą rosą w posusze
Pod naszem niebem,
Z posiewu swego zbierz dzisiaj plony
Na wdzięcznych sercach zrywane kłosy.
Czcią i miłością okrzyk natchniony
Niechaj z podzięką buchnie w niebiosy,
I niechaj cały dowie się świat,
Żeś Ty nam Mistrz, żeś Ty nam brat!

CHÓR.

I niechaj cały dowie się świat!
Żeś Ty nam Mistrz, żeś Ty nam brat!

Zabrzmij pieśni ze wszech stron,
Orle skrzydła sobie weź,
I przez wieki sławę nieś!
Plon niesiemy, plon!...



Adolf Stroner.





NA GWIAZDKĘ.

W żłobku leży Boskie dziecię,
Pełne wdzięku, krasy,
Jakby chciało serca nasze
Zdobyć po wsze czasy;

Jakby chciało dusze nasze
Z grzechów też oczyścić,
Nim Mu Boskie posłannictwo
Przyjdzie śmiercią ziścić.

To też witaj, Jezu Chryste
Oczyść serca, dusze,
I wskrześ Polskę z jej letargu,
Męki skróć — katusze.

I spraw, Boże, by wszechludy
Cel jedyny miały:
Żyć, pracować dla ludzkości,
Umrzeć dla Twej chwały.

I gdy modlim się tak rzewnie,
Żebrząc lepszej doli:
Głoszą pokój Aniołowie
Ludziom dobrej woli.



Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Kwestya kobieca na wystawie paryskiej.

(Z wrażeń osobistych).

II.

Kwestya kobieca tak mało jest u nas znaną, i popularną, że trzy odrębne kongresy, poświęcone jej na wystawie paryskiej, skłonni jesteśmy uważać za dowód osobistych niechęci inicyatorek, które na wspólnym pomieścić się nie mogły. Tymczasem szerokie łożysko, którem płynie dziś ruch kobiecy, wysuwa różnice zasadnicze, odmienne podstawy poglądu na świat, przekonań filozoficznych, społecznych, religijnych, które barwić muszą całkiem innemi kolorami rozprawy radykalnych zwolenniczek Frondy, niż odłamu chrześciańsko-socyalnego. Już same nazwy: kongres dzieł i urządzeń kobiecych, oraz drugi, którego tematem było położenie i prawa kobiety [1]) świadczą o zasadniczej różnicy. Pierwszy starał się przedstawić pracę kobiety w różnych dziedzinach współczesnego życia, nakreślić jej najbliższe cele, nie naruszając żadnego z istniejących postulatów o ustroju społecznym, rodzinie i religii, uczestniczki drugiego śmiałą ręką sięgają po nowe prawa i z zasady sprzeciwiają się wszelkim ustawom wyjątkowym. Trzeci kongres [2]) wreszcie urządziła międzynarodowa kobieca liga pokoju, która liczy dziś już 5 milionów członkiń, jakkolwiek istnieje dopiero od 1897 roku.

Przypatrzmy się im po kolei, zaczynając od ostatniego.

Na czele międzynarodowej kobiecej ligi pokoju stoi osoba lat koło pięćdziesięciu, gorliwa i oddana sprawie księżna Wiszniewska, z polskiem nazwiskiem, ale Francuska. Sekretarką jest nasza rodaczka p. Marya Szeliga - Loevy, założycielka dawnej ligii powszechnej kobiet, dziennikarka, redaktorka „Almanach des femmes“ współpracowniczka pism francuskich, osobistość w Paryżu znana, a wśród kolonii polskiej ogólną ciesząca się sympatyą. Obie te panie urządziły w pałacu ekonomii socyalnej wystawę Ligi pokoju, która uwidocznić miała rozmiary i popularność stowarzyszenia. Nagromadzono zatem adresy, opatrzone w setki tysięcy podpisów, fotografie przewodniczących w stowarzyszeniach różnych krajów, chorągwie stowarzyszeń obok archiwum, złożonego z listów od adherentek i artykułów dziennikarskich, poświęconych działalności Ligi. O popularności idei pokoju wśród kobiet wszystkich krajów wątpić nie można, a przyjęta przez ligę zasada, że „kobieta, doradczyni, a często i współpracowniczka mężczyzny, wychowawczyni dziecka, może i

[1]) Congrés international des oevres et institutions féminines.
Congrés international de la condition et des droits des femmes.

[2]) Congrés de l' Alliance des femmes pour la paix.

powinna przyczynić się do przeobrażenia wśród przyszłych pokoleń duszy wojowniczej w duszę braterską i pokojową“, głośnem echem rozlega się po obu brzegach oceanu. Kobieta, biedna ofiara wojny pragnie ją usunąć, głosząc pokój, nie pyta o zawikłania polityczne i o niezadowolonych z istniejącego *status quo*.

Tej bezwzględnej wierze w tryumf idei, a może trochę i brakowi uwzględnienia rzeczywistych zawikłań politycznych, które przedewszystkiem ułożyćby powinni ci, co głoszą dążenie do powszechnego pokoju, przypisać należy olbrzymie powodzenie ligi wśród kobiet wszystkich narodowości. Dla nas Polaków kwestya to wcale nie akademicka, to też, jak mówią, p. Szeliga, sympatyzując i oddając się z całą duszą sprawom pokoju, wiele walk toczyć musi, aby wyjaśnić, że na plan pierwszy wysuwa się tu sprawa narodowości uciśnionych, sprawa Polski. Ruch zainicyowany przez największego naszego gnębiciela, cara rosyjskiego, z niedowierzaniem, a nawet i odrazą przez Polaków przyjmowanym być musi.

Kongres dał przecież sposobność do przypomnienia sprawy polskiej: na bankiecie składkowym mówiła o niej p. Séverine, niesłychanie sympatyczna postać, utalentowana dziennikarka i jałmużniczka ubogich, która zawsze staje słowem i czynem po stronie uciśnionych i upośledzonych.

Kongres ligi przyjmowany przez wiceprezydenta rady miasta Paryża w ratuszu, zasiadał od 27—29 września w wielkiej sali egipskiego pałacu Trocadero, a w liczbie uczestników miał same prawie kobiety, nowe kobiety, o których p. Szeliga w przemówieniu swem powiada: „Prawdziwie n o w a kobieta robi wrażenie wielkiej siostry miłosierdzia, której litościwe ręce przynoszą lekarstwo na wszystkie klęski ludzkości. Nie cofa się ona przed żadną raną, pociesza w cierpieniach, tłum kłoni głowę, uznaje jej poświęcenie, przyjmując pomoc w dziele odnowy społecznej“. Czy ludzkość pozyska istotnie miliony n o w y c h kobiet, nie wiem; postęp nie idzie tak wielkiemi krokami, można przecież spodziewać się, że każda z uczestniczek ligi urzeczywistnić zechce choć cząstkę przyjętych na kongresie wniosków. Odnosiły się one przeważnie do wychowania: Matki i wychowawczynie wezwano, ażeby zastanawiały się nad zasadami sprawiedliwości, prawa, dobroci i prawdziwego braterstwa, które prowadzą do urzeczywistnienia powszechnego pokoju. W szkołach miejskich, a zwłaszcza wiejskich wychowanie w duchu pokojowego ideału stano wić ma najpierwsze zadanie nauczycielek. Nauczycielki w zakładach sierót, infirmerki po szpitalach i wogóle osoby, które stykają się z ludem, powinny rozumieć przyjmowaną na siebie odpowiedzialność moralnego wychowania masy. Kongres zalecił również ideał pokoju wszystkim syndykatom robotniczym, nauczycielom i wychowawcom płci obojej, wreszcie literatkom i artystkom, które wybierać mogą tematy do swoich utworów w zakresie pokojowego ideału. Zwrócił także uwagę na nauczanie historyi, w którem ideały wojny tyle zajmują miejsca, wcześnie wszczepiając wojenne sympatye w umysł dzieci.

Jeżeli na kobiecy ruch pokojowy spojrzymy z punktu widzenia naszych stosunków, to przyznać trzeba, że społeczeństwa wychowane nie pod wpływem idei zaborczych, lecz ideałów pokoju, skłonne być powinny do wymiaru sprawiedliwości i uwzględnienia słusznych żądań słabszych i uciśnionych narodowości. Sprawa nasza może tylko wygrać, nie stracić, tam gdzie zapanuje prawo moralne, zamiast ideału pięści i kuli. To też pokojowy ruch wśród kobiet, najskłonniejszych do przejmowania się dążeniem do powszechnego pokoju, powitać należy sympatycznie, jakkolwiek byłoby to dopiero przygotowawcze wychowanie pokoleń przyszłych, które kiedyś rozstrzygać będą o układzie Europy. Jako ruch etyczny, a nie polityczny, kobieca liga pokoju zasługuje na jak najsilniejsze poparcie.

Kongres prac i instytucyj kobiecych urządzała grupa kobiet, wyznających zasady chrześciańsko-socyalne, która już podczas wystawy paryskiej w 1889 r. zwołała międzynarodowy zjazd kobiecy. Prezydowała p. Sara Monod, przewodnicząca konferencyj odbywanych corocznie w Wersalu przez francuskie stowarzyszenia kobiece, a wstępną mowę wypowiedział dyrektor społecznego muzeum (Musée social) Mabilleau. Niemcy przysłały 18 delegatek pod przewodnictwem znanej bojowniczki o prawa kobiety, p. Maryi Stritt z Drezna; p. Kallirhoe Parzen przywiozła referat o kobiecym ruchu w Grecyi, który przedewszystkiem jest narodowym i w ostatniej grecko-tureckiej wojnie ogromne oddał usługi. Z Kanady francuskiej przybyła p. Danduran; ze Szwajcaryi, gdzie jest bardzo żywy ruch kobiecy p. Vidart. Referatów nadesłano 230, tak że kongres podzielić się musiał na sekcye, aby uwzględnić wszystkie poglądy i referaty. W sekcyi pedagogicznej panował duch ściśle patryarchalny, położono nacisk na dodatni wpływ rodziny, na konieczność wszechstronniejszego przygotowania do życia, niż czyni to szkoła i na praktyczną część wychowania. Pod wpływem inspektorki generalnej szkół początkowych, p. Vergomard, kongres uchwala jednakowe wychowanie moralne i umysłowe dla chłopców i dziewcząt w szkołach początkowych. Ale i co do dalszych studyów ten quasi-konserwatywny kongres okazuje się zwolennikiem uniwersyteckich studyów dla kobiety. Wszystkie uniwersytety mają być jej dostępne, bo tylko przebywszy te same studya przygotowawcze, co mężczyzna, kobieta może wychowywać młodych chłopców i zostać profesorką. Dowodem, iż kongresistki popierają wyższe wykształcenie kobiet, był zapał wzbudzony przez referat astronomki p Klumpke, która streściła zasługi kobiet na polu astronomii. Wyliczywszy kilkadziesiąt nazwisk kobiet astronomek, P. Klumpke przypomina, że w ostatnich pięćdziesięciu latach do rozpowszechnienia prawd astronomicznych przyczyniły się Mary Sommerrille, autorka dzieła o mechanizmie niebios, Zofia Kowalewska, która pisała o pierścieniach Saturna, Miss Clarke i Klementyna Roger w licznych dziełach. Kobiety pracowały, jako dyrektorki drugorzędnych laboratoryów astronomicznych w Stanach Zjednoczonych A. P. Obserwatorya w Europie i w Ameryce otworzyły też przed niemi swe podwoje, a zbiorowe prace naukowe zawdzięczają ich pomocy. Prelegentka od 1893 r. kieruje biurem pomiarów w obserwatoryum astronomicznem w Paryżu i opowiada, że określiło ono przez ten czas położenie 245.531 gwiazd przy pomocy 638 zdjęć fotograficznych (gwiazd).

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Staś wrócił do domu ze spuszczoną w dół głową, w zamyśleniu. Rwał mu się wątek myśli, brakowało mu równowagi i spokoju, nie miał już żadnego sądu o swych czynach.

To też, starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, wsunął się do swego pokoju przez wejście od podwórza i, uniknąwszy spotkania z kimkolwiek, pomimo wczesnej pory, położył się zaraz do łóżka. Nie zapalał nawet lampy przy rozbieraniu, chciał bowiem uniknąć widoku pokoju w nieładzie, owej charakterystycznej kupki popiołu przed piecem i porozrzucanych na stole książek. Widok tych wszystkich śladów przejść dnia tego byłby mu sprawił conajmniej taką przykrość, jaką przyjemność mu sprawiał poprzednio, przed bytnością u matki Michasia.

Położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Słowa matki Michasia obudziły w nim jakiś głos obcy, który mu szeptał do ucha: źleś zrobił; powinieneś był usunąć się od wszystkiego, nie mieszać się do biblioteki, pozostać niepodejrzanym o nic uczniem, skończyć gimnazyum i jaknajprędzej stać się pomocą matce.

„Tak byłby postąpił chłopak rozumny — mówił mu ten głos, — i tą drogą naj-

lepiej się przysłużyć mógł społeczeństwu. Już przecież w uniwersytecie mogłeś był zająć się pracą pożyteczną dla ogółu, jeśliś pałał taką żądzą bezinteresownych poświęceń. A teraz będziesz matce ciężarem, będziesz żebrał pracy, do jakiej nie jesteś zdolny, będziesz ginął z głodu, nieuznany, nieoceniony należycie“.

I ten głos, głos tajemny tak długo spędzał sen z jego powiek, aż wreszcie Beńkowski zakończył tę rozmowę z samym sobą temi słowy: pojadę do Berlina, skryję się przed oczyma ludzi usunę się od kontroli, uniknę przypominania zewsząd, żem sobie zwichnął życie przez własną głupotę. Tam będę mógł walczyć z biedą, nie będąc przez nikogo widziany. Zwalczę ją — to się okaże, że ja miałem racyę. Jeśli zaś ona mnie zwalczy, to zginę, a nikt nie będzie posiadał mej tajemnicy i nademną się litować nikt nie będzie“.

Z tą alternatywą w duszy — Staś zasnął.

Szczęśliwa młodości! — —

Spał snem nerwowym, niespokojnym. Śniło mu się, że już jest w Berlinie zarabia na siebie sam. Ma swój własny pokoik, skromnie umeblowany, a na drzwiach bilet wizytowy z napisem: student akademii rolniczej. Koledzy uniwersyteccy oceniają w nim to, czego nie był w stanie ocenić w nim Siekierzyn. Widzą w nim swego duchownego wodza. Prowadź, prowadź nas — tak mówią do niego ich spojrzenia, gdy on przemawia na zebraniach. A wśród czterech ścian swego pokoiku snuje rozległe plany swej działalności społecznej. „Kraj, co we mnie dziś widzi nierozważnego, nieroztropnego młodzieńca, — tak rozumuje mózg jego — musi uznać we mnie siłę. Musi, musi!“ i Beńkowski z biciem serca się budzi.

W pół otwartych jego oczach maluje się zrazu zdziwienie, a potem rozczarowanie: pokoik studencki istniał tylko we śnie, jasny poranek zagląda przez okno, koledzy go opuścili, otacza go dawna, szara, przykra rzeczywistość.

„Ale ja jednak muszę im pokazać, że we mnie coś jest i że oni uznać mnie muszą“ mówi sobie Staś, przymyka oczy i gwałtem chce spać dalej, spać; snuć wątek myśli... Byle jak najdalej uciec od tej rzeczywistości, uciec przed nią w krainę snów i snu.

I Staś śni dalej. Widzi, jak po ukończeniu studyów dostaje posadę, bierze do siebie matkę i siostrę. Pomiędzy niemi odbywa się wzruszająca scena. „Widzisz matko, mówi Staś, szedłem swoją własną drogą — i doszedłem! a matka, ściskając jego głowę w swych rękach, mówi: „wierzyłam w Ciebie!“

Lecz oto myśl jego znowu wraca do tego skromnego pokoiku w Berlinie. Ten mu jest najmilszy, tam bowiem jest sam ze swemi myślami. Pracuje. Po całych wieczorach siedzi w domu; czyta lub pisze. Zachęca kolegów do pracy nad sobą, żąda od nich, aby na wakacyach uczyli dzieci czytać i pisać, a chłopom wykładali zasady ekonomii.

I widzi siebie, jak z głową, wspartą na dłoniach myśli głęboko nad listem, który otrzymał z prowincyi. Powtarza się w nim stara zwrotka o potrzebie wysyłania ludzi wykształconych, którzy by mogli z odczytami występować na zgromadzeniach; zagrzewać lud polski do obrony przeciw germanizacyi. Piszą do niego: przyjedź, przyjedź ty sam! Mamy do ciebie zaufanie! Wszyscy chętnie słuchać będą Twoich słów!

Wtem nagle odzywa się przy jego drzwiach głośne pukanie. „W imię prawa otworzyć!“ To pewnie oni — to policya polityczna. Staś chowa list do kieszeni, i idzie do drzwi. Pukanie się ponawia, tym razem głośniejsze.

Staś się budzi, zlany zimnym potem. Pukanie trwa na jawie dalej, a z za drzwi odzywa się głos młodego Stefka Rudzkiego: Jeszcze pan śpi, panie Beńkowski?! Przecież to już po dziewiątej!

A więc to był sen! — Staś biegnie do drzwi i otwiera Stefkowi.

„Wyobraź sobie, śniło mi się“, zaczyna mówić do niego, chcąc opowiedzieć sen, pod wrażeniem którego wciąż pozostaje; ale Stefek mu przerywa:

„Najnowsza wiadomość! Jadę na czas dłuższy do Berlina!“, woła z widoczną radością.

„I ty także?“ odpowiada ze zdziwieniem Beńkowski.

„Jadę, jadę, napewno“, potwierdza Stefan i wyłuszcza sytuacyę: Niech sobie pan wyobrazi, dziś raniutko przyszedł do nas żandarm od komisarza policyi i prosił ojca ze sobą. Ojciec poszedł, a po godzince niedługiej wraca i mówi: Słuchaj Stefek, najdalej za tydzień wyjedziesz do Berlina. — Pytam więc, jak, co? — a ojciec się śmieje i powiada, że komisarz przyjął go winem, gadał z nim „po przyjacielsku“ dłuższy czas, wreszcie wyznał że obecnie proces przeciwko mnie jest nieunikniony, ale żeby ojciec się nic nie bał. Później dał do zrozumienia, że oni sami tego procesu bardziej się boją, niż ktokolwiek. „Smarkacza skazaliby na piętnaście marek kary, powiada, ale przy badaniach mogłyby wyjść na jaw zmowy, stowarzyszenia, licho wie nie co. Napomknął mimochodem o rezultacie rewizyi u Pana. Dyrektor gimnazyum podobno sam w strachu, a policya, chcąc uniknąć kompromitacyi, że to wszystko pod jej okiem dziać się mogło, najchętniej by widziała, gdybym się właśnie przed procesem — ulotnił z Siekierzyna zupełnie. „Nie będzie chłopaka. to nic nie zezna, nikogo nie skompromituje, a i my unikniemy kłopotu“ miał mówić komisarz. Poprostu policya boi się blamażu. Tego żandarma, co był na dworcu podobno w obecności ojca zbeształ komisarz za to, że mu się coś przyśniło o jakiejś z góry przygotowanej demonstracyi. Więc mnie ojciec wyszle do jednego ze znajomych do Berlina, będę mieszkał bez zameldowania, a tymczasem minie sobie proces — zakończył jednym tchem wypowiedzianą relacyę Stefek.



NAGONKA.

Zanim Beńkowski zdołał mu coś odpowiedzieć, Stefek dodał: „A teraz wiadomość i dla pana. Pański opiekun przyjechał dziś raniutko do Siekierzyna“.

Staś przybladł trochę i zapytał, przerywając Stefkowi: „Widziałeś go?“

„Nie“, odrzekł zapytany, „ale właśnie przyniósł od niego list do pana służący z hotelu pod trzema gwiazdami“,

„Daj“! zawołał Beńkowski i szybkim ruchem wziąwszy z rąk Stefana list, otworzył go. Znalazł tylko krótką wiadomość, że ma przyjść po obiedzie około 2-ej po południu do hotelu.

Ten list nie obiecywał Beńkowskiemu miłej rozmowy z opiekunem, zapowiadał raczej ciężką przeprawę.

Beńkowskiego nie zajmowało już wcale opowiadanie Stefka o projektowanym wyjeździe do Berlina.

„A co mi tam“ — pomyślał sobie wreszcie — „przecież opiekun mnie nie żywił, ani przyodziewał. I tak mi nikt nic nie da: postawię się ostro.“

Pomimo tego postanowienia, Beńkowski co chwila spoglądał na zegarek, dopóki nie zbliżyło się południe. Później zaś nerwowe podrażnienie jego tak się zwiększyło, że nie poszedł wcale na obiad.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ZAGŁOBA SWATEM.

OBRAZEK DRAMATYCZNY HENRYKA SIENKIEWICZA.

Biedna panna Zosia! Tatuś nie zezwala na jej związek z kochanym panem Zarembą... Tatuś, expalestrant, „chcą pana Młynika“ syna palestranta, za zięcia. A więc siedzi panna Zosia u krosien i przędzie... „i razem z tym lnem chciałaby wyprząść żal“, który trapi jej stęsknioną duszyczkę.

Pan Olivius, expalestrant, a tatuś panny Zosi, ma słuszny ze swego stanowiska powód nienawiści do całego rodu Zarembów. Bo, jak opowiada pannie Zosi rezydent na dworze Oliviusa, poczciwy Cypryan, tak się zrodziło owo uprzedzenie do Zarembów.

„Ojciec twój, nim się z twoją matką ożenił, chciał brać pannę Kuleszankę na Podlasiu, w której okrutnie był rozmiłowan. Ba! cóż z tego, kiedy był i drugi zalotnik, towarzysz pancerny, stryjeczny stryj tego właśnie Zaremby, który się w tobie kocha. — Naszym palestrantom nie nowina szabla, ale twój ojciec był bojaźliwego od młodości serca; zdrowia nie miał, siły nijakiej, chowały go od dzieciństwa niewiasty — i po prawdzie..., nie z szabli wyrósł wasz ród, jeno z kancelaryi... Już ci tak, bo twój dziad był sekretarzem u księdza prymasa — i za jego protekcyą indygenat otrzymał... że to po łacinie expedite umiał, co podobno w Holandyi zwykła rzecz... Ten Zaremba tedy, który był frant i wielce do szabli wartki, bardzo sobie twego ojca lekceważył — i na pośmiechowisko go wystawiał... Gadają, że go w smole umoczył, a potem w pierzu utaczał. No! — nie wiem — ale to wiem, że Kuleszankę wziął, a twój ojciec, dopiero w cztery roki później z twoją matką się ożenił... Rozumiesz? Jeśli tak było, to i uraza nie dziwota...“

Rozumie, doskonale rozumie to panna Zosia. Rozumie też doniosłość słów tatusia: „pierwej mi tu włosy urosną, nim ja jakiemu Zarembie córkę oddam“. Ale jedna pociecha dodaje jej otuchy. Pan Zaremba głośno na jarmarku się chełpił: „pierwej mi tu włosy wyrosną, nim się Zośki zrzeknę“, z czego stary Cypryan logiczną wysuwa konkluzyę, iż skoro pan Zaremba „tak wam publicznie mówił, to przecie na wstyd nie chciałby się narażać“. Coraz większa nadzieja wstępuje w serduszko Zosi.

O wilku mowa, a wilk tu! Na progu pojawia się Zaremba.

Z a r e m b a. (przeskakując próg) Buch! a o mnie tu była mowa?

C y p r y a n. A co? zawołaj: hultaj, a on jest!

Z o s i a. Jezus! Marya!

Z a r e m b a. Dla mojej Zośki wyrzekłbym się nietylko hultajstwa, ale i życia.

Z o ś k a. Dla Boga! Waćpan tutaj! tak niespodzianie...

Z a r e m b a. Ba! ojciec waćpanny zakazał mi przestępować tutejszych progów, więc je przeskakuję. Buch!

C y p r y a n. Rób z nim, co chcesz.

Z o ś k a. Co będzie, jak tatuś, albo krewni waćpana tu zobaczą?

Z a r e m b a. (całując ręce Zosi) Miód! specyał! jak Boga kocham! Na krewniaczki mam sposób a ojciec mnie nie zobaczy. Widziałem go na stawie, ościami szczupaki bije — tak (pokazuje). Noc późna, śpią wszyscy, prócz nas, Ba! ja już dwie noce nie śpię. Zośka! złoto moje, jak mi Bóg miły, tak nie mogę żyć bez ciebie.

Z o s i a. A cóż poradzę, kiedy tatuś...

Z a r e m b a. Ja poradzę! jużem pora dził! Nie spałem, nie jadłem, nie piłem, pókim rady nie znalazł.

Z o s i a. Jaką? coś waćpan obmyślił?

Z a r e m b a. Panie Cypryanie, chodźcie-no na stronę Ale nie! Wpierw muszę Zośkę o coś zapytać!...

C y p r y a n. A do tych pytań, to ja pewno niepotrzebny. Przyjdźże potem do alkierza. (Wychodzi).

Z a r e m b a. (rzucając się na kolana) Buch! Zośka! kochasz ty mnie?

Z o ś k a. Nie śmiem powiedzieć, ale... chyba... kocham.

Z a r e m b a. O mojeż ty złoto, mój skarbie! (zrywa stę) I mnie śmiałości brak. (całuje ją) Patrz. Łatwiej o uczynek, niż o słowo.

Z o ś k a. Ach!

Z a r e m b a. To przez nieśmiałość, Zośka, przez nieśmiałość — jak Boga kocham! Chcesz, to cię przeproszę. W nogi, w ręce, jak chcesz...

Z o ś k a. Nie chcę — nie!

Z a r e m b a. Bo jakoż cię przekonać! Wierzysz mi ty?

Z o ś k a. Waćpanu może swawola, a mnie łzy i wstyd.

Z a r e m b a. Swawola? Miłuję cię z całej duszy, na piechotę i konno! Amen!

Z o ś k a. Właśnie słyszałam, że każden żołnierz płochy jest i niestały.

Z a r e m b a. Ra — ta! ta! Nieprawda. (uderza się po szabli) Żołnierz ze stalą ma do czynienia, więc musi stale wszystko czynić. Amory żołnierskie, też jak stal.

Z o ś k a. Waćpan na wszystko znajdziesz odpowiedź, a mnie smutno.

Z a r e m b a. Nietylko odpowiedź, ale i sposób... Smutków ja nie kocham, jeno ciebie i przeto pótym szukał, pókim nie znalazł.

Z o ś k a. Co waćpan zamierzasz?

Z a r e m b a. Przyrzeknij mi tylko, że choćby tu sąd ostateczny nastał, choćby nie wiem co zaszło, ty nie stękniesz, nie stracisz serca. Zaufaj mi!

Z o ś k a. Przecież siłą nie będziesz mnie waćpan brał?

Z a r e m b a. Nie! nie! Sam ojciec mi cię odda.

Z o ś k a. Dlaczego ma oddać? kiedy?

Z a r e m b a. Kiedy? — dziś! a dlaczego? słuchaj... Nie! muszę jeszcze z Cypryanem pomówić! Ale przyrzecz mi, że się nie zlękniesz! nie stracisz serca. Powtarzam: choćby tu piekło nastało, choćbyś słyszała: Ałłach! Ałłach! — nie bój się!

Z o ś k a. Jużem się zlękła..., aż mi w głowie szumi. Co waćpan chcesz uczynić?

Z a r e m b a. Wesele chcę uczynić! Wesele z tobą, Zosiu! Niech mnie kule biją! Wiwat pani Zarembina! — zdrowie moje! żywot mój! Wychodź, kto nie wierzysz! (chwyta się za szablę)

Z o ś k a. Na miłość boską, nie krzycz waść! krewne posłyszą, albo służba.

Z a r e m b a. O dla Boga! Áfekta mnie ćwiczą jak bąki... Zośka moja!

Z o ś k a. Na miłość boską — ciszej!

Z a r e m b a. Zamknij mi buzią gębę, bo krzyknę, jak tatar: Ałła! Ałła!

Na taki krzyk zbiega ze wszystkich stron służba, wpada z alkierza Cypryan i obie panny rezydentki, krewne nieboszczki żony Oliviusa, Marcyanna i Weronika. Przed nimi gra Zaremba przewyborną komedyę. Opowiada im, że go Zośka nie chce, że nim wzgardziła i że przybył właśnie prosić o rękę jednej z nich. Takie dictum zmienia zupełnie postać rzeczy.

Z a r e m b a... ona mną wzgardziła, weznę jedną z was, najsłodsze orzeszki, jagódki, śliweczki Jedną z was, czarnulki, jakem Zaremba.

M a r c y a n n a. }
W e r o n i k a. } Którą?

Z a r e m b a. Którą? hę? a do dyaska! (głośno) Jak to którą? No! namyślę się... Tę, którą ojciec Cypryan mi doradzi. Tak! — Wreszcie tę, która ma dłuższy dech.

M a r c y a n n a. Jakto dłuższy dech?

W e r o n i k a. Dlaczego dłuższy dech?

Z a r e m b a. Dlaczego? Bo za żołnierzem trzeba jeździć.. Spróbujcie!

M a r c y a n n a. Jakże spróbować?

Z a r e m b a. Ba! my żołnierze mamy dobry sposób. Pociągnie się dobrze powietrza w brzuch i mówi się tak: jedna wrona bez ogona, druga wrona bez ogona, trzecia wrona bez ogona... Im kto więcej wron bez przerwy wyliczy, tem ma dłuższy dech.

Ot, turniej o męża. Obie panny zachwycone tym planem, mogącym jednej z nich dostarczyć tak długo i tęsknie oczekiwanego małżonka. Tymczasem Zaremba naradza się z Cypryanem. Tłumaczy mu swój plan. Sprowadzi swego komilitona Zagłobę w przebraniu tatarskiem, wraz z pocztem zamaskowanych żołnierzy na dom Oliviusa i w ten sposób uzyska Zośkę, jako brankę tatarską. Żegna więc Cypryana, aby sprowadzić Zagłobę z tatarami. Tymczasem w domu Oliviusa odbywa się przygotowanie na turniej .. o męża.

M a r c y a n n a... powiedział: pojmę za żonę tę, która ma dłuższy dech. O Boże. Jedna wrona bez ogona, druga... trzecia i t. d.

W e r o n i k a (jednocześnie) Jedna wrona bez ogona, druga... itd.

C y p r y a n. (od komina) W imię Ojca i Syna... Oszalały, czy co?

M a r c y a n n a. }
W e r o n i k a. } (gasnącemi głosami) Dziewiąta wrona bez ogona, dziesiąta wro-na bez...

C y p r y a n. Tfu! nie dajcie się dyabłu!

M a r c y a n n a }
W e r o n i k a. } Uf! uf!

Cypryan. Obraza boska! Tfu!

Marcyanna. } Uf! uf!
Weronika.

Cypryan. Jak waćpannom nie wstyd?

Weronika. Panie Cypryanie! — ja waćpana zawsze... uf! (chwyta go za dłoń).

Cypryan. Czego chcecie?

Weronika. Przyjaźni!

Marcyanna. Życzliwości.

(Do pokoju wpada Olivius).

Olivius. Zakazałem waćpanu!... Rozbój... rabunek... vis armata... raptus puellae... latrocinium! Trybunał waści nauczy...

Cypryan. Daj waćpan spokój. Zaremby już tu niema.

Weronika. To o nas chodzi.

Marcyanna. Nie zamykaj nam szczęścia!

Olivius w pierwszej chwili nie może zupełnie zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć. Kiedy mu atoli obie panny tłumaczą, że Zaremba nie o Zośkę, ale o jedną z nich się ubiega, raduje się bardzo myślą takiego pomszczenia na rodzie Zarembów, a powtóre pozbyciem się niebezpiecznego konkurenta do ręki córki. Wtem wpada do sali z wielkim krzykiem

Zaremba. Ludzie ratujcie się! Śmierć nad wami!

Olivius. Rany boskie! Co się stało?

Zaremba. Tchu! Tchu! Naszych tatarów litewskich pobuntował bej z Krymu nasłany. Biją, palą, ścinają! Kraj w ogniu. Ratujcie się! Zaprzęgać, zaprzęgać!

Rumor nieopisany. Panu Oliviusowi łydki się ze strachu trzęsą, obie panny zawodzą, tylko pan Cypryan jakoś dziwnie spokojny..

Ze wsi słychać krzyki: Ałła! Ałła! i kilka strzałów.

Drzwi otwierają się na oścież... Wchodzi Zagłoba, jako tatarski bej — za nim tatarzy.

Zagłoba: Ałła! Bismitta! Ciemno tu. Żagwi!.. Domu, ni zabudowań dziś nie palić. Chcę mieć dach nad głową dla siebie i dla was. Ludzi powiązać, a jntro — tak! (przeciąga palcem po gardle).

Olivius. Mi...ło...sier....dzia...

Zagłoba (siada po turecku na sofie i spostrzegając zebranych). Aha! są i niewiasty! Dobrze (wskazując na Cypryana i Oliviusa): A to co za niewierni?

Cypryan: Potężny baszo! Jam jest stary żołnierz, a to dziedzic tych włości!...

Zagłoba: Dobrze! Słyszałem, że bogacz. Jeśli wszystko odda, zastrzelić go z łuków — jeśli nie, skórę zedrzeć.

Olivius: Chanie miłosierny!

Zagłoba: Pobluźnił — więc naprzód skórę, a potem na pal.

Olivius: Nię! nie! nie!

Zagłoba: Żali to nie wiesz, niewierny głupcze, że chan nasz (wybija pokłon) jest stryjecznym bratem księżyca?

Olivius: Myślałem nawet, że rodzonym! Przysięgam Bogu!

Zagłoba: Na pal! Ałła! Bismitta! Tymczasem bliżej tu jassyr! Dawaj! Niech się niewiastom przypatrzę!

(Tatarzy przyprowadzają kobiety).

Tatar: Oto są Effendi!

Zagłoba: (oglądając Zosię): Ałłach! To będzie dla mnie. A! (głaszcząc się po piersiach) Niam, niam! (ciszej do Zosi): Nie bój się!

Zosia (na stronie): Na Boga, co to jest?

Zagłoba: A teraz te dwie (Przypatrując się Marcyannie i Weronice). O! te dla chana! tamta dla mnie, a te dla chana, dla chana!...

Marcyanna } Ach!
Weronika

Zagłoba: Cicho, rajskie turkawki! Pójdziecie do haremu chana i zaznacie rozkoszy, jakich tylko huryski w raju doznają.

Weronika. Siostro — słyszysz!

Marcyanna: Wspólna nasza niedola!

Zagłoba: Jako i uroda. Szelmą jestem, jeślim widział takie gładyszki.

Marcyanna } Dziej się wola boża!
Weronika

W tem przyprowadza jeden z Tatarów związanego Zarembę, i pyta, co ma z tym jeńcem zrobić.

Zagłoba: Na rany boskie! Toż to Zaremba!

Zaremba: Łykaj — bej!

Zagłoba: Zaremba! Mój pobratymiec! (Do Tatarów): Bliżej tu barankowie! Ktoby tknął tego oficyjera, każę mu głowę uciąć, a potem na czworakach chodzić... Jakem Zag... chciałem powiedzieć: jakem Łyka-bej. Wiecie, że on mi życie pod Kamieńcem ocalił, a potem my wodę na szable lali i pobratymstwo sobie zaprzysięgli. Święty on dla mnie i wszystko, co jest jego... Szelmą jestem, jeślim zełgał... Pomnisz Zaremba?

Zaremba: Jakżebym miał zapomnieć, Łykaj-beju!

Cypryan (do Oliviusa): A co! Mógł nas ocalić!... Łykaj-bej i Zaremba ongi wodę na szable lali; teraz... wino do gardła I to wino najprzedniejsze, bo jak zagroził Łykaj-bej Oliviusowi, „im wino będzie gorsze, tem pal grubszy".

Zagłoba: Łykaj-bej jedną ma gębę i jedno słowo... A jeśli twoja żona wpadnie mi kiedy w ręce — Ałła! — i ona będzie wolna! A jeśli twój ojciec albo teść — Bismitta! — i on będzie wolny! i twoja czeladź i twoja majętność. Łykaj-bej jedną ma gębę i jedno słowo...

Zaremba: Cóż, kiedy Zaremba przyznać musi, że obecni to nie jego krewni. Wprawdzie szukał w tym domu żony, ale...

Zagłoba: Nie przyjęli cię?... Czego milczysz? Którą chciałeś brać?

Marcyanna { Jedna wrona bez ogona, druga wrona bez ogona, trzecia wrona itd.
Weronika

Zagłoba: He? Co to jest?

Olivius: Wybacz panie! Zmiłuj się! To biedne stare niewiasty; widać ze strachu... tu... (stuka się palcem w czoło).

Marcyanna { (Wygrażając pięściami mówią dalej): Szósta wrona bez ogona, siódma wrona itd.
Weronika

Zagłoba: Ha! Są gąsiorki! Dawaj je tu! Grzecznie patrzą. Na starość zsycham się od środka i dlatego wziąłem dyspenzę...

I jak to imć. Zagłoba umie, pije, pije, że aż wszyscy z podziwu wyjść nie mogą. Wraz z przypływem coraz większej ilości likworu szlachetnego do brzucha pana Zagłoby, rozjaśnia się w jego głowie i humor i wesołość bić zeń poczynają.

Zagłoba (śpiewa):

„Jagusiu! Marysiu! Wina mi lej!
Dębniaczek, zieleniak dobry olej!
Dowcipu dodaje, afekta płodzi...
Chcesz dziewce wpaść w oko — wypij [dobrodziej!"

Szczera to prawda! Jakem Łykaj-bej! Wielcy to u nas familianci Łykaj beje, ale i u was, myślę, takich nie brak! Dyspenzę mam — tylko, że to już lata człeku idą i wiecie... Ale przy płci nadobnej wolę się nie zdradzić!... tembardziej, że jak widzę taką rzepę, jak ta panna (pokazuje na Weronikę), albo ta, to jeszcze człeku ślinka idzie.

(Pochyla się i szepce im do uszu).

Kiedy się tak pan Zagłoba zabawia, niby przypadkowo rzuca pytanie Zarembie, dlaczego się nie żeni?

Zagłoba: ...bierz jakową gładyszkę, ale z wianem. (Pokazując na Zosię): Patrz to ci malina! Bierz ją.

Zaremba: Chciałem, ale...

Olivius (cicho): Nie gub mię?

Zagłoba (marszcząc brwi): Ale co? Nie chciała cię?

Zaremba: I to nie.

Zagłoba: Tyś nie mógł pokochać?

Zaremba: Ja? Jabym za nią w piekło — buch!

Zagłoba: Więc co u dyabła! (pokazując na Oliviusa): Może on?

Olivius: Nieprawda! Nie!...

Zaremba: Przecież nie kto inny.

Zagłoba: On! Wina! Niech gniew zaleję, bo go tu zaraz uduszę! Ha! Płomień ze mnie buchnie! Noża, jataganu, powrozów, łuku, strzał, toporu, pala, ognia, żelaza, wina!!!

(pije).

Olivius: Nieprawda! Na potęgi niebieskie! Panie Zaremba, Jaśku! Chciałem stałości waszeci wypróbować. To było dla próby! nic, tylko dla próby. Ja dla waćpana.. Zośka! przemów za ojcem.

Zośka (cicho): Panie Zaremba, ja się czegoś domyślam, ale nie męczcie ojca, bo nie wytrzymam.

Zagłoba: Płomień zalałem (po chwili) Nie bracie... I ja niegdyś w Krymie kochałem się w jednej królewnie murzyńskiej, ale gdy ojciec jej kazał mi ją po drzewach gonić — tego nie chciałem uczynić, bom też nie żadna małpa, jeno szlach.., chciałem rzec: jeno bej z godnej familii Łykajów.

Zaremba. Cóż zrobić, kiedy ją nad życie miłuję.

Olivius: A to kawaler, a to rycerz! Panie beju! Łaskawco, dobrodzieju! Nie namawiajcie go, aby mi dziecko pokrzywdził. Ona go miłuje i on ją... Pomrze z żałości. Nie odmawiajcie! Bądźcie im swatem... połączcie ich!?...

Zagłoba: Miłujecie się?

Zaremba } tak.
Zośka

Zagłoba: Skoro się miłują... Ale samże waść o to prosisz? Sam sobie życzysz?

Olivius: Proszę! Błagam! Życzę sobie i błogosławię.

Zagłoba: I ja... Waszmościów na świadki biorę, że to nie żaden przymus... Przyjechaliśmy ot, jak kuligiem.

Wszyscy: Świadczymy!

Olivius: Ja sam chcę! Parol szlachecki — sam!

Zagłoba: A ślub?

Olivius: Jest właśnie ksiądz w kaplicy! Boskie zmiłowanie, że jest ksiądz!

Zagłoba: Zaremba! Co ty na to?

Zaremba: Buch! (pada na kolana przed Zośką).

WIERUSZ KOWALSKI.



POLOWANIE NA WILKI.

Zośka (klękając): Pobłogosław ojcze!

Olivius: Błogosławię oboje.

Zagłoba: I ja! Ba, jeszcze jak błogosławię! Wiwat państwo młodzi!

Wszyscy: Niech żyją!

Olivius (do służby): Stoły zastawiać! A my do kaplicy!

Po ślubie zdradza Zagłoba tajemnicę swego przebrania: „Taki ja Łykaj“ – powiada do Oliviusa, jak i ty Łykaj, bośmy już obaj łykali i jeszcze będziemy. Dopiął swego. Kulig skończył się weselem.

I cóż pomoże, że oszukany Olivius pieni się ze złości? Już po ślubie... Do trybunału pójść ze skargą nie można, wszak sam zezwolił na ślub. Musi się więc pogodzić z myślą, że żołnierza będzie miał za zięcia i od serca błogosławi młodym.

Tak pan Zagłoba wyswatał swego komilitona Zarembę.



Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

W chwili, gdy przepełniona ludnością Europa napadła na sąsiednią część świata, szukając w niej nie tylko bogactw, które się w niej znajdują, ale zamyślając o założeniu kolonij, do którychby mogła wyrzucić część swej ludności, nie będzie pozbawionem interesu opisanie choć części krajów, dokąd dąży Europa, i z którą musi się zetknąć i walczyć, nim kraje ich posiędzie. Zwiedziłem zachodnią część północnej Afryki, żyłem w niej dość długo wśród osiadłych i koczowniczych plemion, obserwowałem zwyczaje, z wielu mieszkańcami żyłem w przyjaźni; mogę więc przedstawić obraz stosunków tamtejszych, aby jaśniejsze dać przedstawienie o walce Mahdiego, tego bohatera północno-wschodniej Afryki — Abd-el Kadera.

W czazie gdy, północna Afryka zostawała pod panowaniem Arabów, kraj ten był bogaty i kulturalny, handel, przemysł i rolnictwo kwitły. Mieszkańcy zajmowali się uprawą różnych roślin, osuszali pola kanałami; skóry zaś, jedwabne i wełniane materye, makaty złote i srebrne, różne pachnidła i metalowe wyroby znane były światu całemu. Dość spojrzeć na różne budowle w miastach północnej Afryki, aby się przekonać że i architektura arabska nic nie straciła ze swej oryginalnej piękności i nadzwyczajnej lekkości. Ile wiadomo z pozostałych dawnych aktów, cudzoziemcy, otaczający ostatnich arabskich władców, wprowadzili byli dobrą administracyę, uregulowali finanse i kontrolę i polepszyli zarząd całego kraju. Turcy, podbiwszy kraj, przynieśli tyranią baszów, którzy wszędzie siali niezgodę, żeby tem łatwiej było grabić jednych przy pomocy drugich. Oszukaństwa i zdzierstwa urzędników, niesprawiedliwość i sprzedajność sędziów, brak pewności o jutro i demoralizujący wpływ niewoli doprowadziły kraj w ciągu trzech lat do bardzo smutnego stanu. Obecna część francuzka podnosi się powoli, urządza i upiększa wtedy, gdy Egipt, znajdujący się pod zarządem i opieką handlarzy europejskich, wysysających soki kraju dla zysku swego, chyli się ku upadkowi.

Północną Afrykę francuzką można podzielić na trzy pasy: przybrzeżny obmywany wodami Śródziemnego morza, jest to pas przemysłu i handlu; średni, ciągnący się między górami Atlasu i piaskami małej Sahary, zajmują plemiona pasterskie i rolnicze. Dalej zaś ku południowi, aż do nieskończonych piasków wielkiej Sahary leży ziemia daktyli, czyli Belad-el Dzirid. Ludność północnego pasu jest mieszaniną najróżnorodniejszych narodów, które tu osiedlały się od najdawniejszych czasów wśród miejscowej ludności. Sredni jest zajęty przez Maurów, Arabów i Berberów; południowy zaś jest zamieszkały przez koczujące plemiona Arabów, których bardzo mała tylko część osiadła na oazach, oddając się rolnictwu i hodowaniu stad. Tu już napotykamy pierwsze osady murzynów.

Mieszkańcy miast zajmują się przedewszystkiem handlem i przemysłem, lecz i rolnictwo nie jest zaniedbanem; przeciwnie, ziemię tu uprawiają lepiej, jak w następnym pasie, ale w zachodniej części góry tak blizko podchodzą do brzegów morza, że tam zboże sieje się prawie wszędzie na skalistych podgórzach, pokrytych cieniutką warstewką ziemi, która pomimo dobrej uprawy i umierzwienia, nie przynosi więcej, jak 7 lub 8 ziarn. Pszenica jednak jest tak doskonała, że wywozi się całkowicie do Europy, a ludność kupuje zboże od mieszkańców średniego pasu. Są wreszcie i tu miejsca, które mogłyby przynieść wielkie korzyści dla rolników, lecz pierwsza próba ostudziła nieco zapał kolonistów. W 1848 r. rząd francuzki ogłosił, że da pewną ilość ziemi bezpłatnie tym, którzy by z Europy chcieli przenieść się do Algeryi i zająć się rolnictwem. Mnóstwo chciwych Niemców z rodzinami i dobytkiem, powędrowało natychmiast do tej ziemi obiecanej. Widząc, że leniwy Arab ledwo drapiąc powierzchnię ziemi, ma już wielkie korzyści, Niemcy cieszyli się naprzód, myśląc, jakie osiągną bogactwa, kiedy poruszą ziemię głęboko. I rzeczywiście zboże zeszło znakomicie, lecz zarazem wywiązały się z ziemi zabójcze miazmy, od których zginęło do 4 tys Niemców. Reszta przerażona uciekła do Vaterlandu, przeklinając swą chciwość i łatwowierność, a roznosząc wszędzie najpotworniejsze wieści o klimacie Algeryi.

Kłos tak zwanej pszenicy faraońskiej jest prawie cztery razy większy od największego kłosa zwykłej naszej pszenicy; ziarna są prawie dwa razy większe, a z każdego ziarna wyrasta nie jedno dźbło, lecz krzak cały, mający trzy do czterech metrów wysokści. Taki niezwykły rozwój pszenicy przypisują intenzywnemu działaniu promieni słonecz-nych, bo przeniesiona do Europy wyradza się prędko i nie wydaje nawet takiego plonu, jak zwykła nasza. W północnej części Algeryi uprawiają z wielkiem powodzeniem doskonały tytoń, który rozpowszechnia się coraz więcej w południowej Francyi i we Włoszech.

Góry Albanu prawie wszędzie są pokryte lasami. Lasy te wprawdzie nie posiadają wielu rodzajów drzew, ale zato mają nadzwyczajnie wielką ilość gatunków. Nie widziałem w Europie tak ogromnych sosen i dębów, zebranych na jednem miejscu, jak na pochyłościach gór Albanu. Oprócz różnych gatunków dębów i sosen, znajdujemy tu buki, kasztany, graby, orzechy włoskie, oliwne drzewo, cedry i td. Lasy te są napełnione mnóstwem pnących się w górę i ścielących roślin. Przed zajęciem lasów w zarząd skarbu Arabowie pasali w nich swoje stada; pastusi, rozpalając ogniska w lesie, sprawiali czasami leśne pożary, które jednak nigdy nie były zbyt znaczne z powodu wielkiej twardości tutejszych gatunków drzew. Rząd, zabrawszy lasy w swój zarząd, zabronił w nich paść bydło. Od tego czasu pnące się rośliny tak się w nich rozrosły, że otoczyły prawie każde drzewo od dołu do góry, przeszkadzając rośnięciu, bo odbierały im nietylko światło, ale i soki żywotne Usychając zaś w końcu lata, były przyczyną, że najmniejsza nieostrożność podróżnego, lub myśliwego zapalała te suche rośliny i rozszerzała pożar po całym lesie. Tak się spalił ogromny las około Mostagenem w prowincyi Oranu. Dziś Francuzi wszędzie oczyszczają lasy, robią wyręby i kopią rowy dla uchronienia lasów od pożarów.

Zasadzanie szkółek drzew pokazało, że prawie wszystkie europejskie rośliny aklimatyzują się w Afryce bardzo prędko. Już w niektórych miejscach laury tworzą całe lasy, a w Biskarze widziałem gaik utworzony z brzóz płaczących. Tytoń i bawełna udają się wszędzie wyśmienicie, ale morwa, kakao, indigo. herbata, kawa, drzewo terpentynowe, kompeszowe, muszkatelowe, żelazne, assa fortida i trzcina cukrowa nie lubią afrykańskiego klimatu. Może z czasem, gdy skutkiem uprawy stosunki klimatyczne zmienią się nieco, i te rośliny przyswoi sobie Afryka północna, a wtedy stanie się ona niewyczerpanem źródłem bogactwa mieszkańców.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).



Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

„Panie Adamie! rzekł, mam z Tobą o bardzo ważnej rzeczy pogadać. Przez czas ten, od kiedy cię poznałem, mieliśmy sposobność zaprzyjaźnić się — służyłeś pan wiernie sprawie odrodzenia swojej ojczyzny z pomocą Najjaśniejszej cesarzowej, ale teraz nadeszła pora, że dla mnie, rozumiesz pan, dla mnie, wyrzec się możesz służby ojczyźnie. Zastąpi ciebie jednego kilku innych, ty masz odtąd do mnie należeć..."

Odetchnął teraz głęboko, jakby mu powietrza brakowało i przeszedł się po pokoju; z karafki w kącie stojącej pociągnął potężny haust wina.

„Ha! panie Adamie!" począł znowu z dziwnym wyrazem twarzy. „Służę ja wyższym, ty mnie; cały świat to tylko służba, podchlebstwa, ale będą pieniążki... Ha ha ha! Ja sto tysięcy rubelków, ty na początek trzydzieści, potem wszystko." Smiał się dziko jeszcze chwil kilka. Potem jakoś znowu uspokoił się. „Widzisz bo pan, jestem ojcem, mam córkę, ot i kłopot cały. Był tu, pan wiesz, przez zapusty książę L., obdarzony honorami carowej najjaśniejszej i niezliczonemi dowodami tego, wielki marszałek i t. d. Bawił się wesoło, ot, bawił się aż mi córkę rozbawił. Cóż ja w obec niego, nieprawdaż panie, ha! rozkochał... Przyszedł do mnie pewnego południa, ubrany w mundur ze wszystkimi haftami i galonami, przed którym stać musiałem — pan wiesz, jeden drugiemu służyć musi — powiedział: „Mości Panie. Podobała mi się córka twoja. Za rajskie chwile, które mi stworzyła przez krótki czas mego pobytu tutaj, masz kwit do mego bankiera, a jak tylko przyjadę do dworu, to tytuł i order, dla ciebie i dla zięcia..." Rozumiesz pan? Ha, ha, nieprawdaż, to pocieszne, za taką bagatelę takie ła...a..aski, ooord..." upadł bezwładnie na fotel i ręką jeszcze sięgnął do karafki i wychylił ją do ostatka. Adam tymczasem siedział nieruchomy, młody, niedoświadczony doznał tego uczucia, jak zwykle, gdy odchyli się zasłona piekła występków. Pojął teraz rozpacz ojca. Szubalski siedział zimny, uśmiechnięty pod nosem, zawistnie kiedy niekiedy na przyjaciela patrząc. „Otóż panie Adam, Adasiu kochany", zaczął po chwili długiego milczenia, podczas którego dychał ciężko, zionąc każdą razą winem, „my tu z panem Julciem postanowili z pana zrobić i zięcia i kawalera kilku orderów. Za dwa, za trzy tygodnie wyrobimy ci starostwo, potem ślub, ordery, miodo..., chę, chę, chę, chę, troszka zadalekom się zagalopował. No daj buzi drogi zięciu".

Adam powstał, mróz mu przeszedł po kościach, włosy się najeżyły.

„No, prawda... doskonale!" mówił ojciec Amalii. „Prędzej kulą w łeb", syknął. „Ja mam być pokojowcem pańskim, moskiewskim, nigdy!" wyrwał się z rąk powstrzymującego go Szubalskiego, który szepnął mu do ucha: „Słuchaj no, co ci powie".

Przyszła kolej wybuchu na ambasadora „Nie? ryknął" a co ja mówił, że mniejszy starszemu musi służyć, jak nie, to bratku, stryczek na szyję. Albo ślub, albo szubienica... A Paracki bratku gdzie? Gdzie pieniądze, gdzie papiery, co miał przy sobie? Wybieraj, wybieraj, albo ślub albo szubienica. No, no, panie szlachcic, my wiemy, że tak źle nie będzie", mówił do osłupiałego Adama, już łagodniej nieco.

Karski nic nie mówiąc, po chwili zwrócił się ku drzwiom — były zamknięte.

„Wiedzieliśmy, wiedzieliśmy o tem, że zechcesz uciekać, ale stąd już nie wyjdziesz. Albo stąd wprost pod sąd, albo przysięga. Bo posłuchaj pan! posłuchaj panie Adamie," pociągnął go za sobą na sofę „co ja mam robić, co mam robić z córką, muszę wydać. Za kogo? moich rodaków tu nie ma, pan masz imię i tytuł starościc po ojcu. Nikogo to dziwić nie będzie. Wyjedziesz stąd, żonę zabierzesz, jak żyć będziesz, nikt nie pyta. Będzie i majątek i urząd Rzeczypospolitej waszej. Panie Adamie, rozumiesz pan? Co? jak będzie?"

„To, com mówił!" odparł „prędzej nam obojgu kula w łeb, niż coś podobnego".

Ambasador rozrychotał się dziko:

„Więc nie? Szubalski powiedz temu głupcowi, co wiesz o Parackim".

Karski śmiały wzrok zwrócił na przyjaciela, który zmieszany spuścił oczy ku uiemi i rzekł przyciszonym głosem:

„Bo widzisz mój kochany, mamy, pan ambasador ma dowody, że chcąc uwolnić się od Parackiego i przywłaszczyć sobie jego majątek, sprzątnąłeś go z tego świata. Mogą być kłopoty. Zresztą pan ambasador pojmuje sam takie wyjątkowe położenie i potrafi zatrzeć to swojemi stosunkami, ale jeśli nie zechcesz spełnić jego prośby, nie wiem, co stać się może..." urwał z niepewnością.

„Nie!" rzekł zimno starościc „to ja mam w ręku list Parackiego, dowodzący, że sam mię opuścił i pierścionek zaręczynowy zostawił mi także na pamiątkę".

„Niepodobna!" zawołał Szubalski udając zdziwienie.

„Zaraz w tej chwili. Parackiego kochałem, jak brata, ostatnią spuściznę po nim mam przy sobie" i to mówiąc z pod żupana wydobył książkę rzemykiem obwiązaną i z paczki papierów podał Szubalskiemu znaną karteczkę, który chciwie po nią sięgnąwszy postąpił z nią ku stołowi. Plecyma obróciwszy się ku Adamowi, przypatrywał się ze wszystkich stron karcie, szepnął coś na ucho ambasadorowi, który podczas tego siedział zadumany w myślach. Po jakimś czasie odwrócił się Szubalski, rzekł do starościca spokojnie czekającego.

„Wszystko byłoby dobrze, gdyby ta sama kartka nie świadczyła przeciw tobie. Czytaj sam! i podał mu papier.

Karski zdziwiony podszedł ku światłu, przejrzał oczyma i śmiertelnie pobladł. Na drugiej stronie, gdzie dotąd czysta biała barwa świeciła, stało wybiakłemi literami wypisane:

Donoszę Jaśnie Wlm. Panu, że przed dziesięciu dniami w okolicy Krakowa wiadomą Jaśnie Wielm. Panu osobę, sprzeciwiającą się rozporządzeniom Jego z taką szkodą dla ojczyzny, wyprawiłem tam, dokąd jej się już oddawna należało być. Żywe oczy już jej więcej nie zobaczą. Pierścionek z wiadomą cyfrą W. P. schowałem.

Powierzając rzecz tę dyskrecyi Jaśnie Wielm. Pana, pozostaję jego najniższym zawsze sługą.

A. K.

„Co to jest? Juljuszu! Czyje to pismo?" wyjęknął Adam.

„Sędziowie bacząc na podpis i okoliczności, orzekną, że twoje," odparł zimno Szubalski.

„Cóż pan na to?" odezwał się teraz ambasador. »Pięknyś pan ptaszek, nie ma co mówić. Ale niech tam będzie, co się komu podoba. Mnie trzeba nazwiska dla córki, rozumiesz pan, nazwiska i to do miesiąca najdalej. Szubalski, gadajże; on od ciebie lep ej zrozumie: albo żona, piękna, młoda, hę, hę, hę, no i słodka, trzydzieści tysięcy rubli, urząd, order, albo szubienica«.

„Mój przyjaciel", rzekł słodko rudy sprzymierzeniec „jest na tyle rozsądny i rozumie, co ma wybrać. Sprzeciwiał się bo nie wiedział, że rzeczy tak źle stoją. Nieprawdaż Adamie, dobijmy interesu, podaj mi rękę".

„Nigdy!" rzekł słabym głosem starościc.

„Dobrze, dobrze!" rzekł na pół drwiąco ambasador wstając. „Idę już spać, Waść mości starościcu, masz tu w przyległym pokoju czas do namysłu przez dwadzieścia cztery godzin. Panie Juliüszu, zechcesz nie opuścić szanownego przyjaciela i dać mi znać, czy mam przysłać pachołków, czy odebrać przyrzeczenie i poczynić kroki stosowne".

Po chwili, choć ranek się już zbliżał ucichło wszystko. W jednym z rezerwowych pokoi pilnowani przy drzwiach przez lokaja, pomieścili się dwaj przyjaciele. Szubalski ułożył się najspokojniej na łóżko, zostawiając Adama samego jego ciężkim myślom.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Bertold Menkes.

O wartości przeróbek.

(Z powodu wystawienia „Hajduczka“).

Pomysł twórczy w jednej, jedynej tylko formie i to koniecznie takiej, może się ujawić. Rzec można, iż myśl twórcy i forma, w jaką swe myśli ubiera, tak dalece się zrosły ze sobą, zharmonizowały, iż rozerwanie ich jest prawie niemożliwem. Bo czyż można sobie wyobrazić myśl twórczą Homera, ucieleśnioną w formie dramatu, lub na odwrót substrat myślowy Hamleta wyrażony w formie np. lirycznej? A choćbyśmy sobie nawet to wyobrazić mogli, to przyznać musielibyśmy, iż przeobrażając formę, uronić musi ten, kto tej przeróbki dokonywa, niejedno z zakresu i głębi myśli twórcy. Bo, czy podobna, aby w dzieło twórcy tak wniknąć można, aby wszystko zeń przyjąć, aby patrzeć okiem twórcy, słyszeć uchem twórcy, czuć jego sercem, i myśleć jego myślami?

Dlatego mimo pozorną tożsamość między dziełem oryginalnem a przeróbką, mimo pozorną analogię między postaciami w obu się zachodzącemi, mimo taki sam aparat zewnętrznych zjawisk — dusze postaci przerobionych z oryginału, nie będą się co do swego napięcia nakrywały z duszami, których stany twórca oryginalny odmalować zamierzył. Bo, jak to już we wstępie zaznaczyłem, przerabiając jakieś dzieło, niepodobna wcielić się całkowicie w myśl twórcy, niepodobna zatem ująć tych wszystkich cech i właściwości, które znamionują dane tworzywo, niepodobna więc w ostatecznej konsekwencyi odworzyć raz już stworzonej rzeczy.

To jest pierwszy, a zarazem najważniejszy powód, dlaczego każda przeróbka musi się nieudać.

A dalej. Myśli symbolem jest słowo. A słowo jest w dramacie jego formą. Jak tedy postępuje człowiek przerabiający dzieło oryginalne? Stara się rozerwać związek, zachodzący między myślą a słowem, wyodrębnić następnie tę myśl, aby ją wreszcie ulać w inną formę. Tak np. pan X. eliminuje z powieści myśli autora i wciela je następnie w formę dramatu. Cóż tedy czyni? Gwałci po pierwsze przyrodzoną harmonię między treścią myślową dzieła a jego formą — i to pierwszy jego grzech; stara się zgłębić myśli innego człowieka, czego jednak dokonać nie można, bo jak wiadomo, poza siebie wyjść nie możemy — i to drugi jego grzech; urabia dla cudzych myśli i to niedostatecznie pogłębionych nową, niewłaściwą formę — i to trzeci jego grzech.

To też lepiej nie grzeszyć i przeróbek nie popełniać!

Ujdzie to jednak wtedy, gdy w przeróbce główną rolę odgrywa tylko sceniczność, a nie psychologiczne pogłębienie. Tak np. z romansu kryminalnego daje się wykroić niezły (nota bene pod względem scenicznym) dramat. Wszystko, co się tu dzieje, ma swe uzasadnienie w senzacyjnych faktach absorbujących tak dalece uwagę widza, iż nie zwraca wcale uwagi na brak pogłębienia charakterów, brak jednolitości i konsekwencyi w psychicznem podmalowaniu rzeczy. Tak np. „Właściciel kuźnic“ Ohneta, zarówno jako oryginalna powieść, jak i przeróbka dramatyczna nie działa wcale mocą swej wewnętrznej wartości artystycznej, ale dlatego, iż schlebiając upodobaniom mieszczaństwa, zyskuje w zamian za to ich poklask. Bo Filip Derbley dlatego się podoba, iż jest wcieleniem marzeń ludzi przeciętnych.

Wartość zatem artystyczna przeróbek dramatycznych — żadna.

Pytam zatem: poco mącić nam wyobrażenie, jakie mamy o jakiemś arcydziele (bo te zwykle podają ofiarą przeróbek), stawiając je nam w formie nieartystycznej, wprost bezwartościowej?...

Takie pytanie nasunęło mi się podczas przedstawienia „Hajduczka“, komedyi wykrojonej z trylogii Sienkiewicza. To, co mnie w trylogii zachwycało, tu oburzało; co w trylogii działało, tu budziło tylko niesmak; co w trylogii było wielkiem, tu karykaturą! pytam: czyż nie wyśmialibyśmy „Hajduczka“ i odsądzili od wszelkiej wartości, gdybyśmy nie znali sienkiewiczowskiego arcydzieła?... Przychodząc do teatru, mieliśmy wszyscy dokładne wyobrażenie tych postaci, które się na scenie przesunęły; każdy z nas wniósł już gotowe owe pojęcia zarówno o panu Zagłobie, jak i Wołodyjowskim, zarówno o pannie Krystynie Drohojewskiej, jak i Basi; nic dla nas nie było nowością, a wszystko zbanalizowaniem naszych pojęć. To też wychodząc z teatru niejeden pomyślał: „a przecież to nie był Zagłoba...“ lub: „inaczej sobie wyobrażałem pana Wołodyjowskiego...“ i t. d.

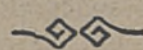
I przykro było patrzeć jak nasi znakomici artyści się mozolili nad nadaniem wartości rzeczy nawskroś bezwartościowej i jak się martwili złym skutkiem swych mozołów.

Takich eksperymentów z arcydziełami Sienkiewicza robić nie wolno.



Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.



Niesmaczne i nieprzyjemne zawikłania, jakie w ostatnich czasach zapanowały w naszych sferach muzykalnych, wywołały pewien zastój w repertuarze operowym. Najgorzej wyszli na tem ci, którzy nie należąc z zasady do żadnej partyi (czysta sztuka wyklucza wszelką partyjność) wyczekiwali darmo w ostatnim miesiącu jakiejś nowości; po odjeździe Grąbczewskiego wskutek zupełnego braku planu w układaniu repertoaru zapanowała wielka luka. Ponieważ dramat finansowo idzie haniebnie a opery w tych czasach prawie że nie było, byliśmy zmuszeni widzieć bajecznie puste szeregi krzeseł, między którymi przechadzał się nieodstępny przyjaciel naszego teatru: „chłodny wiatr“. A ten brak systematyki i planu dziwi nas tem bardziej, że o ile wiemy, jest w naszym teatrze cały bezpotrzebny balast sekretarzy, podsekretarzy, nadsekretarzy, do których właśnie tego rodzaju praca należy. Nie chcąc się wdawać w szczegółową krytykę administracyi teatralnej, musimy zaznaczyć, że jest ona bardzo niedołężna. W tak wielkiem przedsiębiorstwie, jak nasz teatr, trzeba koniecznie jakiejś żelaznej ręki, któraby wszystko prowadziła wzoi mnie i z planem.

Jedną z nowości, które usłyszeliśmy w ostatnim miesiącu, była opera w 1 akcie czeskiego kompozytora Blodeka „W studni“. — Kompozycya ta nadzwyczaj piękna i interesująca. Bogactwo melodyi, oryginalność, piękna harmonizacya i bardzo szczęśliwa, połączenie pierwiastku komicznego (Bartek), lirycznego i dramatycznego cechują ten utwór, tendencyjnie przez niektórych z naszych znakomitych recenzentów został uznany za generalną bryndzę. Już uwertura i intermezzo jako utwory symfoniczne, przepiękne, pełne czaru i polotu poetycznego, powinny zapewnić tej kompozycyi trwałe powodzenie. Kwartet i arya „Na las wołam, na gaj“, porywają swoją niezwykłą prostotą i pięknością.

Z wykonawców na gorące słowo pochwały zasługuje p. Kasprowiczowa, osoba bezczelnie muzykalna i tak wielostronna, że uwierzyć prawie trudno. P. Ruszkowska dublowala swą rolę z p. Łopatyńską i obie wywiązały się ze swego zadania bardzo pięknie. P. Ruszkowska widocznie wyrabia się, a jeśli jeszcze uzupełni swoje studya, może być kiedyś znakomitą śpiewaczką liryczną. P. Bogucki odśpiewał świetnie i z wielkim humorem trudną partyę Bartka, ściągając jak zwykle na siebie sympatye całej publiczności.

Pod tym względem jest p. Bogucki niepoprawnym. P. Kaufman wzbudził w nas poważną obawę, że wskutek złej szkoly i forsowania traci swój piękny głos. Studya są dla p. Kaufmana gwałtownie potrzebne. Orkiestra i chóry jak zwykle były bez zarzutu. Wogóle wykonano to piękne dzieło con amore.

„Nietoperza“ Straussa, ogranego i znanego już do niemożliwości, wystawiono u nas za przykładem Wiednia siłami opery, operetki i dramatu. Wprawdzie poszczególne części wyszły znakomicie w interpretacyi n. p. tak świetnej spiewaczki jak p. Merklowa, ale całości brakło jednolitości i tego tempa, jakiego wymaga koniecznie to dzieło, aby nie znużyć. Z nowych artystów wybiła się ogromnie p. Mrozowska w roli księcia. Młodziutka ta i przepiękna artystka jest tak bardzo sympatyczna na scenie, że wszelka krytyka musi ustać. Wystawa Nietoperza była aż do przesady staranną i wspaniałą.



Walenty Ćwik.

Z wycieczki po kraju.

Do rzędu miast, które w naszym, ubogim w industryę kraju, zapisują się chlubnie na kartach rodzinnego przemysłu, należy — Przeworsk.

Dzieje grodu tego związane były dawniej z dziejami możnego w Polsce rodu Leliwitów, który wzrastając we względy i łaski Jagiellonów, w zasoby i potęgę, odgrywał wybitną rolę wśród losów Rzeczypospolitej.

Odzyskanie mianowicie Rusi przez królowę Jadwigę otworzyło małopolskim panom obfite źródła nagród, a mnogie rody otrzymały w darze rozległe obszary ziemi.

Jan z Tarnowa, wojewoda sandomierski († 1401) przekształcił r. 1394 Przeworsk z włości w miasto i ufundował tamże klasztor. Pozostawił on pięciu synów, z których Rafał, kasztelan i starosta sandomierski, otrzymawszy działem dobra jarosławskie, rozpoczął dom Leliwitów jarosławskich.

Syn Rafała, Jan, nadał r. 1450 przywilej klasztorowi w Przeworsku a Spytko i Rafał, generał, który bronił dzielnie ziem podolskich i ruskich przeciw Tatarom „i zaszedł aż ku Trembowli“, r. 1468 ustanowili, wzorem sąsiednich krajów pierwszą w Polsce ordynacyę, czyli majorat, zatwierdzony r. 1470 w uznaniu zasług ordynatów przez króla Kazimierza. Majorat ten obejmował miasta Jarosław i Prze-

worsk, tudzież trzydzieści jeden okolicznych włości. Rychło objawiło się atoli niezadowolenie spadkobierców, którzy, pragnąc dzielić się dobrami ordynacyi, wszczęli spór, rozstrzygnięty w końcu przez Zygmunta I. zniesieniem majoratu r. 1519. z chwilą śmierci ostatniego Leliwity jarosławskiego, Spytka, kasztelana krakowskiego.

Koniec XV-ego stulecia krwawe roztoczył łuny ponad tą częścią dzielnic Rzeczypospolitej — hordy Tatarów znaczyły zgliszczami ślady swych groźnych najazdów. Straszliwem zwłaszcza było dzieło zniszczenia, dokonane przez mołdawskiego wojewodę Stefana (1498), który mszcząc się za wyprawę Jana Olbrachta, wpadł do pozbawionego obrony kraju, łupiąc i obracając w perzynę miasta i rozliczne włości. Wonczas to podzielił Przeworsk los Przemyśla, Radymna, Jarosławia i innych grodów.

Ustawiczne napady rozzuchwalonych hord dały impuls do otoczenia Przeworska murem i opasania go obronnym wałem. Do miasta wiodły tylko trzy bramy. Klasztor OO. Bernardynów stanowił sam dla siebie rodzaj twierdzy, bezpieczne schronienie dla okolicznego ludu. Z Przeworska dążyły też w kierunku Jarosławia podziemne jaskinie, pieczary, kryjówki mienia przed chciwością łupieżców.

Z czasów licznych klęsk i nieszczęść, charakteryzujących epokę rządów Jana Kazimierza, pamiętnym w dziejach Przeworska jest najazd siedmiogrodzkiego wojewody Jerzego Rakoczego, który ciągnąt (r. 1567) przez Synowódzko i Stryj w głąb Polski, przerzynał się drogą na Sambor, Przemyśl, Jarosław, Przeworsk i Łańcut ku Krakowowi. Wtenczas to dały się odczuć straszliwe zastępy Węgrów, Wołochów, Mołdawian, najbardziej zaś Kozaków. Ci mieszkańcy, których zachował los przy życiu wśród klęski wojennej, padli później pod ciosami głodu i zarazy, jaka do końca roku grasowała. Nowe nieszczęścia nawiedziły miasto r. 1672 wskutek upadku Kamieńca podolskiego, gdy tureckie i tatarskie hordy, ustępując od oblężenia Lwowa, rozpuściły trzema szlakami zagony na Przemyśl, Jarosław i Zamość i uprowadzili w jasyr mnóstwo ludzi różnego stanu i wieku.

Ogólny upadek dobrobytu miast w czasach rządów ostatnich królów odbił się i na Przeworsku, któremu pozostało w spuściznie wspomnienie świetniejszej przeszłości. Z trzech klasztorów: OO. Bernardynów, Stróżów Grobu i SS. Miłosiernych oddały się te ostatnie opiece chorych i nauce sierót płci żeńskiej. Pałac z kosztownym księgozbiorem i w guście angielskim założony ogród z plantacyą drzew morwowych do hodowania jedwabników, oto przez długi czas jedyne przedmioty, zdolne zwrócić na siebie uwagę turysty. Zresztą zstąpił Przeworsk do rzędu mało znanych w kraju miejscowości, do rzędu brudnych, pełnych błota miasteczek, zasianych obficie sklepikami i budami żydowskich kramarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z tygodnia.

Sienkiewiczowskim zwać się powinien ten przedostatni w roku i wieku bieżącym tydzień. Cała Polska święciła jubileusz 25-letniej działalności genjalnego pisarza, a było to, jakby święto odrodzenia, święto wiary w żywotność własną i nadziei w lepszą przyszłość Ojczyzny.

Działalność genjuszów ma to do siebie, że w ocenianiu jej skutków nikną środki, formy zewnętrzne, jakiemi wpływali na swój naród, a występuje jedynie ów moralny wynik ich pracy, co porwał dusze i serca społeczeństwa. Sejm konstytucyjny ustawą, Racławice wojennem bohaterstwem, „Pan Tadeusz“ i „Trylogia“ słowem natchnionem oddziaływały, a jednak, mimo odmiennych środków, wielkość twórców tych dzieł wiekopomnych staje przed naszemi oczyma w jednej i tej samej barwie, wynik ich działalności był jednaki. I dlatego jubileuszu Sienkiewicza nie można uważać za jubileusz literacki, za święto odrodzenia u nas jednej ze sztuk pięknych. Jest to narodowe święto, jak narodową była praca jubilata, który słowo drukowane wziął tylko za narzędzie, mające dokonać dzieła odrodzenia.

Nie mógł zaiste, radośniej zamknąć się dla nas wiek XIX., jak właśnie takim blaskiem nadziei i żywotności duchowej, jaką posiada działalność Sienkiewicza. Więcej to, niż Racławice, co zamknęły wiek XVIII!

* * *

Jubileusz Sienkiewicza obchodzono wczoraj równocześnie w trzech stolicach naszych dzielnic: Warszawie, Poznaniu i we Lwowie. Najświetniejszym był on, oczywiście, w Warszawie, która mogła samemu jubileuszowi złożyć hołd i dokąd też nietylko z całej Polski, ale z całej Słowiańszczyzny i z wielu innych krajów Europy pospieszyli przedstawiciele piśmiennictwa. We Lwowie, gdzie już przedtem odbył się wieczór uroczysty staraniem Związku naukowo-literackiego, święto wczorajsze obchodzono w teatrze, który przepełnił się doborową publicznością. Na program złożyły się: przemówienie p. K. Skrzyńskiego, deklamacya bardzo pięknego wiersza St. Rosowskiego, uwieńczenie biustu jubilata, wyjątek z „Halki“, oraz własny utwór dramatyczny Sienkiewicza pt. „Zagłoba swatem“, z którego sprawę na innem zdajemy miejscu.

Wszystkie instytucye naukowe, literackie, narodowe, wszystkie wydawnictwa czasopism i mnóstwo osób prywatnych wysłało do jubilata telegramy z wyrażeniem czci i miłości głębokiej.

* * *

O przebiegu wczorajszej uroczystości jubileuszowej w Warszawie donoszą telegraficznie:

Zjazd ogromny. Oprócz Polaków ze wszystkich stron Galicyi, Wielkopolski i Królestwa, z Litwy, Wołynia, Podola, Ukrainy, oraz z Rosyi, przybyli delegaci z Brukseli, Ameryki Północnej, z Fryburga, Śląska i td. Przybyli również delegaci prasy amerykańskiej, angielskiej i rosyjskiej. Są także reprezentowane oba uniwersytety polskie i Akademia umiejętności. Nadesłano mnóstwo adresów i tysiące telegramów. Pogoda wspaniała. Nabożeństwo w kościele św. Krzyża odprawił ks. biskup Ruszkiewicz, który następnie powitał Sienkiewicza w wielkiej sali ratuszu, dokąd jubilata wprowadzono przy odgłosie polonesa. Wręczono solenizantowi akt własności Oblęgorka i mnóstwo darów. Na przemowę biskupa Sienkiewicz odpowiedział:

„Trudno mi wypowiedzieć słowami, jak dalece wzrusza mnie dzień dzisiejszy i wszystko, co mnie w nim spotyka. Ja, który z powodu prac moich dużo zajmowałem się przeszłością, z najgłębszem rozrzewnieniem przypominam sobie, że w dawnych czasach tak właśnie nagradzano rycerzy, słynnych z odwagi i poświęcenia. Dziś jednak trzeba przedewszystkiem nie jednorazowych uczynków, ale pracy — długiej, wytrwałej, codziennej. I właśnie tę pracę moją kraj wynagradza w sposób najwspanialszy, najszlachetniejszy i najgodniejszy z naszą tradycyą — bo wynagradza ziemią. Nic nie przychodzi bez trudu, zatem i ja musiałem tyrać w pocie czoła, ale mogę rzec, że Bóg błogosławił mojej pracy. Zyskałem miłość swoich, uznanie obcych, a nawet względny dostatek. — Brakło mi tylko jednego: ziemi — tej ziemi, z której wszyscyśmy wyrośli, która jest i będzie niewzruszoną podstawą życia i nieśmiertelną matką pokoleń. Aż oto, wzywa mię tu kraj i ofiaruje mi szmat tej naszej ziemi, dla której pracowałem — ofiaruje dla mnie i dla moich dzieci.

Co za radość, co za uspokojenie! Jakie wspomnienie tego dnia dla mnie i dla dzieci moich po wszystkie dni ich życia. Gdzie znajdę słowo podzięki — jak ja wyrażę — nie wiem. Z serca wyrywa mi się tylko okrzyk: Bóg zapłać—i niech żyje, niech kwitnie to wielkie serce ogólne, które tak umie czuć i tak nagradzać!“

NADESŁANE.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.